

Błyski



Blżej krwiobiegu. O debiucie Katarzyny Zwolskiej-Płusy

Debiut Katarzyny Zwolskiej-Płusy „Cud i Anomalia” to książka intensywna na niejednej płaszczyźnie. Podzielona na dwie zasygnalizowane w tytule części penetruje śmiertelną cielesność, przeprowadzając na niej akt wiwisekcji. Jest tu obserwowanie pęknięć i wewnętrznych broczeń, ale także wysiłek (poświadczony tekstami metaforycznymi), by to inferno interny, rozrastające się jak dzikie mięso, przełożyć na tkanekę tekstu.

Anna Dominiak

Introdukcją tomu jest wiersz „maud” sygnalizujący jeden z motywów zbioru – macierzyństwo, które będzie tu traktowane jak „wyodrębnianie naturalnych bliźni” – nowe życie jest rodzajem nowotworu, tkanki, która rozwija się kosztem organizmu matki. Druga część to już zapis zmagania z chorobą, doświadczanie grozy śmierci:

ten kto twierdzi, że słońce topi się w morzu,
nigdy nie siedział na dnie.

tutaj ryby mówią językami dzieci i aniołów
gładkimi jak śluz i ciągnącymi się
w wyciszonym monologu.

pożeram plankton osiadły na stopach.
to obrzydliwe i imponujące co potrafię zrobić
z nogami, gdy układam się w ostrydże jak w matce.

jestem żywicielką
guz rośnie jak ukwiał.

(„obrazek z sopotu”)

Ciało jest oczywistym bohaterem tego zbioru, od cudu zaistnienia po wszelkie anomalie wiążące się z biologicznym trwaniem. Skulone i zdeformowane, ale konkretne i dotykane, rodzące i rodzone, pokazane jako embrion i bliskie śmierci, z krętymi jak mroczne korytarze sekretami. To, które zadaje ból i jest ofiarą. Odrażające, ale też budzące czułość – zwłaszcza tam, gdzie poetka odnosi się do doświadczeń macierzyństwa:

dzisiaj wstajemy raniem – jasne, rozpalone
gorączką jak słońcem. twoje włosy mają kolor
świtania, układają się na mnie, zlepiają mi rzęsy,
więc widzę tylko ciebie. to znaczy, chcę powie-
dzieć:
widzę ciebie jasno.

(„pierwsza jesienna infekcja”)

Choć nic nie jest tu oczywiste, nawet łożo
(pokrewne słowotwórczo z łożyskiem) może
być miejscem miłości i śmierci.

Ciało w ujęciu poetki to często opresja, ale
również podlegający fluktuacjom twór (nowo-
twór?), który jest i nie jest swoisty. To prze-
strzeń czarnej arkadii, w której życie jest zapo-
wiedzią śmierci. Narodziny przeplatają się z
umieraniem, dlatego w bliskim sąsiedztwie
obecne są motywy genezyjskie i wanitatywne:

jestem kobietą-matką z otwartym łonem
i guzami w formie guzików – tak ukazuję
się światu, bywa że ostatecznie.

(„isis, hekate, diana”)

Nad wodami życia, by posłużyć się genezyjską
składnią (mocno tu obecną), unosi się niezby-
walny duch rozkładu. Jednak tematyka mortua-
lna nie dyktuje poetce oczywistych fraz werba-
lizujących lęk czy bunt wobec praw natury.
Podmiot nie prezentuje postawy histerycznej,
raczej badawczą skrupulatność, której efektem
są racjonalne, mroczne wizje:

w przyrodzie nic nie ginie –
zaplatam naczynia włosowate
wokół każdej komórki
rozrastam się w głąb
wyrównuję braki

niedługo będę łysa
gdy maszynka uderzy za mocno
wewnątrz mnie wyskoczy guz
lub pocznie się życie

Opis doświadczenia macierzyństwa daleki
jest od konwencjonalnych idealizacji. Także
współistnienie matki i dziecka od pierwszego
oddechu (i pierwszego wiersza), przebiega w
bezdusznym szpitalnym sztafażu:

córcę

wpuść mnie dziecino w odwodniony świat małej
syrenki,
w usteczka pełne mleka. stukam obcasami już trzy
godziny.
nadal nic się nie dzieje.

wpuść mnie. czarnoksiężnik z SOR ma blaszane
usta
i słomiany zapał. nie po to został bogiem, by
uciskać brzuchy
małych ludzi.

otwórz oczy, pobiegniemy razem przez szmaragdy
linoleum i stal. prosto w moje pisanie.
prosto w twoje istnienie.

(„bajeczka”)

Krajobraz żył nie jest tu jednak przedmio-
tem opisu epatującego brutalizmami. W ogóle
frazą Zwolskiej-Płusy nie ucieka do łatwych
efektów, za to celnie trafia w punkty zawiadują-
ce niepokojem. Jest raczej wnikliwym, granicz-
ącym z obsesyjną fascynacją, opisem cielesnych
aberracji niż lamentem nad jego ułomnością.
Stąd chłodne, anatomiczne opisy:

zmiana zaczyna się z tyłu głowy, gdzie unosi się
skóra.
skóra unosi się na podstawie kości.
zmiana jest napięta, ułożona wzdłuż i za uszami,
nachodzi na czoło, nachodzi mnie.

(„iliada”)

Namnażanie się niechcianych komórek zo-
stało tu wyjątkowo trafnie skojarzone z naturą
drożdżowego ciasta i nawet słowa tradycyjnie
konotujące przyjemne doznania obciążone są
podskórną grozą: „róż tłuszczowej tkanki słod-
kiej jak cukier”.

Zwolska-Płusa umieszcza ciało na stole
prosektoryjnym i przykładając do niego chłod-
ne narzędzie językowej obróbki, bada, oddzela-
jąc włókno od włókna. W odświeżaniu żył,
odkrywaniu kolejnych warstw może ta książka
przypominać praktyki plastynacyjne Gunthera
von Hagens, z tą różnicą, że poetka estetyzuje
anatomię, poszukując dla niej najlepszej ekwi-
walencji w języku. Jej metaforyka jest zagęsz-
czona, często akwatyyczna, naturalnie oddająca
płynną niestabilność biologicznego trwania:

tamtego dnia Theodosia stała przywiązana do
portu,
oczekując aż znów połknie ją morze,
ale tym razem to ją połknęła mała dziewczynka,
która z otwartą buzią podpłynęła do niej na promie
wycieczkowym.

(„theodosia. gawęda o kłątwie”).

W poetycki świat Katarzyny Zwolskiej-
Płusy mocno wrasta topika biblijna, powracają-
ca jako echa genezyjskie, czy to w postaci sym-
boli (jabłko), czy też jako parafrazy („rzęsa
opada, nad wodami unosi się duch boży i mil-
czy”) bądź jako gry językowe („śliwka i sad
ostateczny”).

Warto zaznaczyć, że poetka potrafi łączyć
skrajne rejestry, które pozwalają jej nie tylko
zanurzyć się w grząski i niezbadany grunt
cielesności, ale także zdefiniować własną
świadomość somatyki i jej koniecznych prze-
istoczeń. Lektura tomu nasuwać może skojar-
zenie z Grochowiakową frazą o brzydocie,
która jest bliżej krwiobiegu.

Ale nie jest prawdą, że ten tom to poezja
turpistyczna i trzewiowa czy maciczno-
waginalna. Zwolska-Płusa z dużą dojrzałością i
zaskakującą sprawnością warsztatową prze-
prowadza czytelnika przez egzystencjalny
dramat nabrzmiewania i rozpadu. Cieleśność
tego tomu jest totalna – ukonkretniona w treści
i formie.

gdy miała osiem lat stało się jasne i stało się słowo,
że ciało dzieci można nadużywać.

gdy miała trzynaście lat jej udo dało się objąć
dłonią. dłoń była jej własna, ogryziona jak kość.

gdy miała dwadzieścia lat jej ciało rozpadło się
i nie wróciło do siebie. stało się jasne i stało się
słowo,

że ciało kobiet można nadużywać,
że ciało jest posłuszne, gdy jest głodne
i że można je mrozić jak mięso.

gdy miała dwadzieścia pięć lat dowiedziała się,
że dziecko w kobiecie to nie zawsze ciąża,

mając trzydzieści lat ma usta czerwone i pieluszkę
córkę reumatyzm. już wszystko.

(„cud i anomalia”)